

Pomyłka [postapokalipsa]

22 stycznia 2013

[kartki papieru znalazła anonimowa osoba, gdy latały one bezładnie nad Starym Miastem]

NOTATKI WŁASNE

Ktoś się pomylił. Może i banalnie zaczynam opowiadać tę historię, lecz w moim odczuciu tak właśnie było. Ktoś popełnił błąd, lecz nie jakaś zwykła osoba. To z pewnością był ktoś znaczący, miał wpływy i władzę. To on, ten na górze. On się pomylił.

Nazywam się Sylwester Drzewiecki. Jestem... byłem krakowskim studentem mechaniki pojazdowej. No, cóż nie będę twierdził inaczej, gdyż nie mam zamiaru mijać się z prawdą. Zresztą, kto by mi uwierzył, gdybym opowiadał niestworzone historie? Mamy rok 1988, właśnie zaczął się listopad. Podejrzewam, że nie ma teraz na świecie osoby, która nie wiedziałaby, co zdarzyło się mniej niż pół roku temu. Każdy w jakiś sposób został dotknięty przez tamto wydarzenie, bez wyjątków. Ale, po co to piszę? Jaki jest tego cel?

Może to się wydawać nieco dziwne i bzdurne, lecz gdy się siedzi samemu w ciemnym pokoju, otulony w brudny koc, a wokół słyszeć jedynie wycie psów i bicie własnego serca, ma się wiele czasu na przemyślenia. Drogi czytelniku, nie proszę cię o podziw, nie proszę o zachwyt nad tym, co czytasz, pragnę jedynie, abyś zrozumiał. Po wielu tygodniach spędzonych w samotności, chłódzie i ciągłym strachu doszedłem do wniosku, że ta walka stanie się bezsensowna tylko wtedy, jeśli nikt się o niej nie dowie. Boję się zapomnienia, dlatego piszę właśnie te słowa. Zapamiętaj mnie, to jedyne, o co cię proszę.

Napiszę kilka słów o sobie, ale nie będę robił z tego osobnej historii, bo naprawdę mój życiorys nie jest tego wart. Jak przystało na studenta, uczyłem się. No, może raczej

studiowałem, gdyż z nauką miało to luźny związek. Jeszcze rok temu byłem zwyczajnym facetem z dwudziestoma pięcioma latami na karku. Uczyłem się przeciętnie, miałem przyjaciół, dziewczynę. Teraz, gdy tylko o niej myślę, żal ściska moje serce pomimo tych czterech miesięcy, jakie minęły. Wybacz czytelniku, że nie powiem nic więcej na jej temat. Zwyczajnie nie chcę znów tego przeżywać. Byliśmy normalną parą, uśmiechnięci, szczęśliwi, zakochani. Co się z nią stało? Nie mam pojęcia, lecz uwierzcie mi, że nie przestałem szukać. Los jednak nie był dla mnie łaskawy tym razem i od tamtej pory jej nie spotkałem. Tak jak i większości moich znajomych.

Moje wiadomości opierają się w głównej mierze na opowieściach ludzi, którzy przeżyli pierwsze dni i postanowili uciekać z piekła, jakie zapanowało. Słyszałem różne historie i przez cały ten okres próbowałem poskładać wszystko w jedną całość. Sądzę, że udało mi się, choć wielu rzeczy zwyczajnie nie wiedziałem.

Wiem jedynie, że komunizm miał się już ku końcowi. Wyglądało na to, że dogorywał, przez co w państwach satelickich, w tym także i w Polsce, odżyły nadzieje na wolność. Coś jednak poszło nie tak. Wyniszczone gospodarki socjalistyczne stanęły na krawędzi upadku. Wtedy wystarczył jeden impuls, aby wszystko wybuchło. Kraj Rad bardziej niż pieniędzy potrzebował symbolu. Symbolu, który reprezentowany był przez zwycięstwo. Sięgnięto po plany inwazji na Zachód sporządzone kilkadziesiąt lat wcześniej. Ja sam gołym okiem widziałem jak reżim chylił się ku upadkowi. Wydawałoby się, że ten absurd nigdy nie miałby prawa się ziścić. Nie wiem, co przesądziło o tym wszystkim. To była iskra, która rozpętała pożar. W jednej chwili wyparowały największe miasta zachodniej Europy: Paryż, Londyn, Madryt, Rzym i inne. Strategiczne pociski jądrowe produkcji radzieckiej uderzyły z chirurgiczną precyzją w kilka sekund pozbawiając życia setki tysięcy ludzi. Rozjuszony pakt Północnoatlantycki odpowiedział potężnym kontruderzeniem, które swą siłą przewyższało atak ZSRR. Początkowo w Polskę

uderzyło jedynie kilka pocisków niszcząc głównie fortyfikacje obronne i większe miasta w tym stolicę, Trójmiasto i Poznań. NATO przygotowywało się do ataku. Układ Warszawski zaskoczony mobilnością i działaniami wroga wystawił na front swoje wojska modyfikując kolejne części planu inwazji. Gdy jednak słabo wyszkolona i wyposażona armia Układu stanęła naprzeciw swemu wrogowi stało się jasne, że ten pojedynek jest z góry skazany na przegraną. Władze na Kremlu nie chciały jednak do tego dopuścić. Wojsko Polskie miało za zadanie powstrzymać nacierającą Bundeswehrę do przybycia kamratów ze wschodu. Zdziwienie żołnierzy trwało dosłownie moment, gdy radzieckie głowice termojądrowe eksplodowały na całej długości zachodniej granicy Polski unicestwiając większą część wojsk niemieckich, lecz również nie oszczędzając wycofujących się Polaków.

To była chwila, w której całkowitej zmianie uległ mój światopogląd. Z całych sił znienawidziłem naszych „protektorów”. Jakkolwiek wcześniej było mi to obojętne, tak od tamtej chwili przedstawiali oni dla mnie wartość mniejszą niż wyszydzani przez propagandę „zachodni najeźdźcy”. NATO nie pozostało dłużne, lecz tym razem zrozumiało wagę swojej walki. Wykorzystano większą część potencjału nuklearnego...

Świat się zmienił. Ludność Ziemi drastycznie zmalała i przeludnienie nie było już istotnym problemem. Dalsze trwanie tej wojny było bezcelowe, gdyż w jakim celu zdobywać ziemie swojego sąsiada, skoro ma się swojej pod dostatkiem? W dodatku zupełnie niezamieszkałej. Wieści przestały do mnie dochodzić, lecz domyślałam się, że państwa zawarły jakiś rodzaj rozejmu z powodu bezsensowności toczenia tego konfliktu. Większa część świata leżała pod gruzami, pokryta promieniotwórczym pyłem. Kraków oberwał dwukrotnie. Uderzenie nastąpiło w samym centrum kombinatu metalurgicznego oraz na południowym zachodzie miasta, gdzie skupiona była większość przemysłu. Dwie taktyczne bomby jądrowe zrównały te miejsca z ziemią, lecz ich zasięg był ograniczony z uwagi na małą moc. Dzięki temu północno zachodnia część oraz fragment Starego Miasta uległy

zachowaniu. Ciężko mi powiedzieć, co stało się z ocalałymi ludźmi. Prawdopodobnie uciekli. Wyjechali jak najdalej od tego miejsca. Zresztą nie dziwię im się. Domyślam się, że już niewiele osób zamieszkuje to piękne niegdyś miasto.

Ja również się zmieniłem. Gdy patrzę teraz w lustro, nie widzę już tamtej osoby, którą byłem wcześniej. Nie widzę siebie takim, jakim byłem przed wojną. Tamten czas już nigdy nie wróci i poniekąd się z tym pogodziłem. Jedyne, czego żałuję z całego...

DZIEŃ 21

Ostrożnie wyjrzałem zza winkła. Strzelbę, którą mam po ojcu, trzymałem w pogotowiu. Tak na wszelki wypadek. Pomimo, że już od niemal pół roku staram się przeżyć w tym miejscu, moje serce wciąż wali mi w piersi, gdy wychodzę na ulicę. Staram się tego nie robić za często, bo okolica nie jest bezpieczna, zwłaszcza o zmierzchu. Jednak jedzenie po pewnym czasie się kończy. Nie pogardziłbym też jakąś ciepłą kurtką, tudzież kocem. Noce robią się coraz chłodniejsze, a drewno samo nie wpada do ogniska. W najbliższym czasie będę musiał pomyśleć nad wycieczką do Parku Krakowskiego w celu nazbierania odpowiedniej ilości drewna na opał, ale jeszcze jest czas.

Szedłem środkiem drogi, gdyż tak było najwygodniej z uwagi na najmniejszą ilość gruzu. Tuż przy starych jak świat kamienicach walały się tony pokruszonego betonu, cegieł i innych temu podobnych śmieci. Bruk wydawałoby się być nietknięty, lecz trudno było to ocenić, gdy większą część ulicy pokrywały sterty kamieni. Musiałem ciągle patrzeć pod stopy by się nie wywrócić. Nasłuchiwałem. Przez ostatnie tygodnie wyczuliłem się na każdy rodzaj dźwięku, jaki do mnie dochodził. Bardzo polegałem na moim słuchu, zresztą już raz ocalił mi skórę. Horda rozwścieczonych psów biegała po Małym Rynku. Udało mi się je usłyszeć i w porę schować w pierwszej lepszej klatce schodowej. Strach pomyśleć, co by się stało gdyby wyczuły, gdzie się ukryłem. Bez broni, bez żadnych

szans.

Wyszedłem na Rynek Główny. Przyzwyczaiałem się już do tego widoku. Wszechobecny gruz walający się po płycie, popękane ściany Sukiennic i wieży ratuszowej, brak szyb w oknach, wszystko pokryte warstwą pyłu. Na początku ciężko było się z tym pogodzić, zwłaszcza, gdy przechodziło się obok znajomej knajpy czy kawiarni. Teraz większość z nich była splądrowana i zniszczona. To miasto umarło, a przyczyniły się do tego nie tylko wybuchy bomb, lecz także bombardowania, grabieże, zabójstwa. Kto by przypuszczał, że tak będzie wyglądać przyszłość?

Skręciłem w Bracką i przyspieszyłem kroku. Słońce przysłaniały półprzezroczyste chmury, podobne do mgły, która utrzymywała się nieprzerwanie od kilkunastu tygodni. W lecie było nieźnośnie gorąco, jakby stanowiła ona barierę dla uciekającego ciepła zmieniając Kraków w szklarnię. Teraz jednak robiło się coraz zimniej i zaczęły wiać porywiste wiatry, które obdzierały drzewa z ostatnich liści. Oby tylko nie spadł taki deszcz jak tydzień po wybuchu...

Spojrzałem na lewo. Na ścianie znajdował się czarny krzyż naniesiony przy pomocy sprayu. Tutaj zakończyłem ostatnio. Zlustrowałem bacznie ulicę, po czym wszedłem do sąsiedniej kamienicy. Drzwi nie chciały mnie wpuścić, lecz ustąpiły pod wpływem silniejszego uderzenia.

Dół zajęty był przez mały sklep odzieżowy. Pomyślałem wtedy, że dobrze trafiłem i uśmiechnąłem się w duchu. Gdy upewniłem się, że nie czai się w środku żadne niebezpieczeństwo zacząłem przeszukiwać pobjowisko. Większość rzeczy poniewierała się po ziemi, zabezpieczając parkiet przed zgubnym działaniem kurzu. Podniosłem spodnie, które wyglądały na mój rozmiar. Niestety były rozerwane w kroku, przez co odrzuciłem je w bok. Otwierałem szafki po kolei. Większość była pusta, w części z nich znalazłem dziecięce bluzeczki. Zabrałem się za wielką szafę w ścianie. Na jej podłodze poniewierały się potargane,

brudne szmaty. Ktoś tu był przede mną i sądząc po pozostawionej garderobie nieźle się wyposażył. Nawet gacie sobie dobrał. Ku mojemu zaskoczeniu drzwi kolejnej szafy nie chciały puścić. Uderzyłem raz i drugi, lecz nic z tego nie wyszło. Zasuwa była drewniana i wyglądała na dobrej jakości surowiec pomimo wielu zadrapań i śladów włamania. Decyzję podjąłem natychmiast. Kopnąłem z całych sił próbując sforsować mahoniowe drewno. Niestety nie udało się. Na ulicy znalazłem sporej wielkości głaz. Po zderzeniu drewno uległo strzaskaniu i mogłem rozebrać je na mniejsze fragmenty. O dziwo wewnątrz wieszak ugiął się od wszelakiej maści futer i kożuchów. Wszystko było nienaruszone i najwidoczniej nikt nie dobrał się do tych rzeczy. Miałem szczęście tego dnia. Znalazłem nawet dość ciepły bezrękawnik, który pasował wręcz idealnie. Natychmiast wymieniałem go na swoją starą, poprzecieraną kurtkę, a ją samą położyłem na ładzie. Byłem do niej przywiązany i nie zamierzałem jej porzucać, choćby nie przedstawiała już żadnej wartości. Dla mnie miało to wymiar symboliczny i może to głupie, ale w tej kurtce była część „mnie”, tak to czułem. Zabrałem też dwa kożuchy. Myślę, że będą dobrze spełniały rolę koców. Zajrzałem jeszcze na zaplecze. W małym pokoiku mieściła się obdrapana lodówka, stół i dwa krzesła. Okno zasłone szarym nalotem wpuszczało do środka odrobinę światła. Oczywiście lodówka nie działała z uwagi na brak prądu, lecz miałem nadzieję na jakąś konserwę, albo cokolwiek innego zdatnego do jedzenia. Przeliczyłem się jednak. Na zapaskudzonych półkach walało się jedynie kilka pudełek po spleśniałym maśle i woreczek foliowy, swoją drogą ciekawe, do czego on był. Sprawdziłem jeszcze piętro, lecz tam nie było dosłownie nic. Właściciele robili remont, gdy zastała ich wojna... Wyżej wyjść nie mogłem, gdyż klatka schodowa była zniszczona i obawiałem się runięcia drewnianej konstrukcji. Rzeczy, które miały jakąkolwiek wartość wyniosłem na piętro i umieściłem w kącie w najodleglejszym od schodów pokoju. Zapytacie pewnie, czy nie obawiałem się, że ktoś je ukradnie. Cóż, zawsze była taka możliwość, lecz stwierdziłem, że domniemani szabrownicy nie domyślą się, że wyniosłem wszystko

na piętro. Jestem pewien, że zawsze w takich wypadkach buszują oni tylko po parterze nie zagłębiając się dalej. Cóż... przynajmniej ja tak robiłem na początku. Wątpię natomiast, żeby ktoś był na tyle szalony, aby przeszukiwać mieszkanie po mieszkaniu jak ja. Nie każdy jest takim wariatem.

Zabrałem jednak trzy futra zamiast dwóch, zawsze się do czegoś przydadzą. Deski wpakowałem do drugiej ręki i wyszedłem z nimi na zewnątrz. Wyjąłem spray i naniosłem krzyżyk na murze. Tym razem jednak namalowałem go z podwójnych linii, co oznaczało, że zostało tam jeszcze coś do wzięcia. Takich miejsc miałem przynajmniej kilka. Nie mogłem sobie pozwolić na częste wypadki. Choć przeszukałem już sporą część Starego Miasta, zawsze starałem się robić nie więcej niż jeden „rajd” na kilka dni. Takie wypadki były niebezpieczne i zwyczajnie... bałem się. Hm. Chyba za często używam wielokropka...

Wróciłem na Szewską najszybciej jak się dało. Dochodziło południe i musiałem jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu. Gdy słońce górowało nad miastem działy się czasem dziwne rzeczy. Nie potrafię tego wyjaśnić, lecz mogę opisać, co się wtedy działo. Największym dla mnie zagrożeniem były dzikie zwierzęta. Agresywne, wściekłe psy stanowiły dla mnie jak dotychczas największe zagrożenie. Nie sposób było się przed nimi obronić, gdyż zawsze chodziły po kilka sztuk. Jednak niemal już nic nie łączyło ich usposobienie z łagodnymi zwierzętami sprzed wojny. Stały się złe, żądne mordu i ludzkiej krwi. Nie mam wątpliwości, że to sprawka tych przeklętych atomówek i towarzyszącej im radiacji. Z innych zagrożeń wymieniałbym bandytów, ale póki co nie odważyli się oni zapuścić w rejony śródmieścia i nadal zajmują duże tereny w Nowej Hucie. Oczywiście istniało jeszcze wiele innych rzeczy czyniących codzienne schadzki po Krakowie niezwykle niebezpiecznymi, ale może innym razem o tym napiszę.

Stałem przed swoją kamienicą i rozejrzałem się na boki. W oddali majaczyła sylwetka na wpół zburzonego teatru „Bagatela”, a tuż przed nim jakieś niewyraźne kształty. Moją

pierwszą myślą było to, że mogły to być te parszywe kundle. Zamiast wchodzić na wprost do klatki schodowej, przeszedłem szybko kilkanaście kroków w lewo i wpadłem do sąsiedniego budynku. Była to przemyślana decyzja, gdyż frontowe drzwi były zaryglowane dość solidnie, aby nie dawać łatwego życia ewentualnym złodziejom. Komu by się chciało forsować zabite deskami drzwi? Oczywiście wszystko było do przejścia, tylko po co hałasować i tracić na to siły?

Przeszedłem przez wąski korytarz mijając drzwi, które również zaryglowałem, lecz już nieco mniej dokładnie, i za winklem porzuciłem wszystkie graty. Na wysokości pasa znajdowała się niewielka wyrwa w ścianie prowadząca do sąsiedniego budynku. Z łatwością się przez nią wgramoliłem do środka, poczym wciągnąłem zdobyczne rzeczy. Otwór zasłoniłem sporej wielkości szafą, którą wsunąłem na miejsce.

Pokój, w którym się znajdowałem wychodził bezpośrednio na ulicę, gdyby nie to, że drzwi były zablokowane, zresztą podobnie jak okno, do którego teraz podszedłem. Przez szpary między deskami dostrzegłem sylwetki mężczyzn nadbiegających od strony plant. Cholera! Kainowcy! Biegną, to znaczy, że mnie zauważyli...

Banda Kaina była najgroźniejszą „organizacją bandycką”, jak można by zapewne powiedzieć, która działała na terenie Krakowa. Mordowali, grabili i wszędzie gdzie się pojawiali, siali spustoszenie i chaos. Nie mieli litości, przez co zachowywali się bardziej jak zwierzęta niż ludzie.

Musiałem działać szybko, a nie miałem dużo czasu. Nie wiedziałem ilu ich było, ani jaką dysponowali bronią. Nie mogłem uciec na wyższe piętro, gdyż Kainowcy za wszelką cenę by mnie szukali. Mogliby nawet przetrząsnąć całą ulicę, byle mnie tylko znaleźć. Zresztą nawet gdybym się jakimś cudem ukrył, z pewnością odnaleźliby moje mieszkanie, a w nim wszystkie zapasy i odszukane przedmioty. Zrabowaliby wszystko doszczętnie zostawiając mnie z parą podartych majtek i świadomością, że znowu odnieśli sukces. Oczywiście pod

warunkiem, że nie podpaliliby całego mieszkania...

Nie! Musiałem jakoś stanąć do walki. Co prawda dysponowałem bronią palną w postaci strzelby i pistoletu zaiwanionego z posterunku policji na Rynku Głównym, lecz limit amunicji miałem dość mizerny, a układ pomieszczeń w kamienicy utrudniał prowadzenie skutecznej obrony. Byłem jednym słowem w czarnej dupie.

Usłyszałem jak ktoś wtargnął do mieszkania obok, z którego ja wcześniej dostałem się do swojego. Osobnik przeszukiwał pomieszczenie bardzo spokojnie sądząc po odgłosu kroków. To było zupełnie niepodobne do Kainowców, którzy wpadali kupą i masakrowali wszystko wokół. Oby tylko nie przyszło im do głowy zastanawiać się, co robi ta dziura w ścianie.

Sięgnąłem ostrożnie po pistolet ukryty dotychczas w szufladzie, po czym cichutko załadowałem magazynek. Drugi napastnik podszedł w tym samym czasie do zaryglowanych drzwi i sprawdził, czy przypadkiem nie była to jedynie atrapa. Po kilku uderzeniach przekonał się jednak, że nie była. Wtedy usłyszałem czyjś głos:

– Wiemy, że tam jesteś! Widzieliśmy cię. – Zabrzmiął spokojny, lecz stanowczy głos – Nie ma sensu się ukrywać, wyjdź, a nie uczynimy ci krzywdy. – Zacisnąłem palce na rękojeści pistoletu. Dobry Wanad nie jest zły, pomyślałem gorzko. Może jakoś to będzie... Odgłosy ustały. Do moich uszu dochodziło już tylko przerażone bicie serca. Postanowiłem siedzieć cicho. W mojej głowie pojawił się obraz kumpla ze studiów. Marcin zawsze potrafił się zaadaptować do każdej sytuacji. Wiedziałby, co robić. Czemu nie ma go pod ręką, gdy jest najbardziej potrzebny, pomyślałem gorzko.

– Jeśli nie wyjdiesz po dobroci, załatwimy to inaczej. W każdym razie i tak cię znajdziemy! – Wrzasnął tamten, po czym usłyszałem potężne uderzenie w drzwi. Deski zazgrzytały, spadło z futryny trochę kurzu, lecz barykada wytrzymała. Schowałem się za ścianą i modliłem o odrobinę szczęścia.

Napastnicy próbowali jeszcze kilkakrotnie sforsować drzwi, lecz za każdym razem odnosili mierny skutek. To jednak nie zniechęcało ich wcale. Po pewnym czasie nieustannego walenia ciężkimi przedmiotami, zapewne gruzem z ulicy, barykada została przełamana. Dwóch typków wparowało do środka bacznie rozglądając się na boki i wymachując bronią na wszystkie strony. Zaczęli przeszukiwać pomieszczenia. Jeden z nich odwrócił się na moment plecami, a drugi podszedł wystarczająco blisko. Miałem tylko jedną próbę. Wyskoczyłem z ukrycia i potężnym uderzeniem rękojęścią w twarz zwałem napastnika z nóg. Gdy padł na ziemię stanąłem mu nogą na głowie przygwożdżając go do podłogi. Wycelowałem w drugiego, który w tym momencie zabierał się do strzału. Zawahałem się. Straciłem swoją szansę. O dziwo, tamten nie strzelił.

– Odłóż broń! – Wrzeszczał – Bo zginiesz!

– Sam odłóż broń! – Odparłem – Wynoś się z mojego domu!

Moją sytuację pogorszył jednak fakt, iż z ulicy przybiegł z odsieczą trzeci bandyta z karabinem w ręce. Przeklinałem w duchu, że wtedy nie strzeliłem. Teraz byłem na straconej pozycji.

– Odłóż broń! Nie masz szans. – Powiedział ten drugi – Jesteś sam. Nie przeżyjesz.

Miał rację. Nie miałem szans wyjść z tego cały. Było tylko jedno wyjście. Nie chciałem tego kończyć w ten sposób, lecz skoro i tak mam umrzeć... Wyjąłem z kieszeni „Tunelik”. Był to granat – cytrynka, który znalazłem razem z pistoletem. Gdybym nie miał wyjścia właśnie w ten sposób chciałem zakończyć swój żywot. Wciąż celując w jednego z napastników włożyłem kciuka w zawleczkę i pokazałem przeciwnikom swój łącznik niebo-ziemia. Ci spojrzeli po sobie zaskoczeni. Przez moment ujrzałem na ich twarzach grymas strachu. Bandyci, a jednak się boją...

– No dalej! Strzelajcie szubrawcy, patałachy! Nieważne co zrobicie. Jeżeli ja zginę, klnę się na Boga, że zabiorę was ze

sobą!

Ta mowa chyba zrobiła na nich wrażenie. Ten z karabinem spojrzał kątem oka na leżącego towarzysza, po czym zwrócił swój wzrok na mnie.

– Nie jesteśmy tacy jak oni. – Gestem ręki nakazał opuścić broń. Sam zrobił to bardzo wolno, uważnie mnie obserwując. Miałem ich teraz jak na widelcu. Wystarczyło pociągnąć za spust.

– Wzięliśmy cię za jednego z Bandy Kaina. – Kontynuował ten wyglądający na przywódcę, chyba jednak pomyliłem się co do nich – Wydałeś się podejrzany, ukrywałeś się...

– Moje prawo. – Warknąłem – Ja również odniosłem mylne wrażenie co do waszej trójki. – Wodziłem wzrokiem po twarzach nieznajomych, lecz broni nie opuściłem. – Teraz już wiecie, na czym stoicie. To mój dom. Wyoście się!

Zabrałem nogę z głowy leżącego pozwalając by tamci dwaj go podnieśli i ocucili.

– Pomyliliśmy się co do ciebie. Za to przepraszamy. – Zaczął dowódca, gdy zmierzali do wyjścia – To bardzo niezwykle, że ktoś tu zamieszkał sam, na własną rękę.

– Zmierzamy w kierunku naszego przyczółku na północy miasta. – Dodał jego towarzysz – Próbujemy zbudować tam namiastkę normalnego życia i potrzebujemy ludzi, którzy mogliby nam pomóc.

– Dziękuję – uśmiechnąłem się sztucznie – Ale nie znoszę tłoku.

– Gdybyś zmienił zdanie...

– Dam wam znać. – Przerwałem szybko.

Sylwetka ostatniego z mężczyzn zniknęła za futryną

roztrzaskanych drzwi. Dopiero w tym momencie opuściłem pistolet. Odetchnąłem głęboko próbując się uspokoić i poukładać wszystko w myślach. Było nieciekawie, lecz to nie byli Kainowcy. O ja szczęściarz. Banda Kaina inaczej by ze mną rozmawiała, o ile w ogóle nawiązałaby jakikolwiek dialog.

Trzeba naprawić te drzwi, pomyślałem. Tym razem chyba dołożę trochę łańcucha od wewnątrz dla lepszego zabezpieczenia. Kto wie, kto wie?

DZIEŃ 32

– Paszoł wredne kundle! – Nacisnąłem kilkukrotnie spust mojego Wanada, który plunął ogniem na zbliżającą się watahę.

Niestety niecelność pistoletu i mój brak wprawy spowodował, że żaden pocisk nie trafił celu. Puściłem się biegiem po zewnętrznej krawędzi rynku omijając sterty gruzu i pogałem w kierunku Kościoła Mariackiego. Serce biło mi jak oszalałe, z trudem łapałem oddech, lecz w mojej głowie była tylko jedna myśl: zdążyć! Miałbym szansę, gdyby udało mi się zamknąć wewnątrz zniszczonego budynku. Odgłosy szczekającej hołoty zbliżały się w zastraszającym tempie, aż w końcu zrozumiałem, że są tuż za mną. Jeden z psów wysunął się na prowadzenie i próbował mnie dosięgnąć swoimi zębiskami. Odwróciłem się podczas biegu i strzeliłem mu prosto w łeb, co skutecznie go zatrzymało. Chciałem oddać jeszcze strzały w kierunku jego kumpli, lecz zamek wydał tylko głuchy trzask. W tym momencie potknąłem się o leżący fragment fasady kamienicy i padłem na kolana u wylotu ulicy Św. Jana. Wtedy zrozumiałem, że będzie po mnie i nie dotrę na czas do kościoła. Podźwignąłem się ponownie, po czym ostatkiem sił ruszyłem na północ. Biegając kilkadziesiąt kroków przed psami usłyszałem jak ich łapy uderzają o twardy bruk, jak ślizgają się po drobnych kamieniach odkruszonych od większych kawałków. Skręciłem w boczną uliczkę, po czym wypadłem na Floriańskiej.

Zyskałem trochę czasu, lecz nie było go wcale wiele.

Zauważyłem blaszany parawan ustawiony wzdłuż kamienicy, który służył przed wojną do zakrywania prac robotników przy ścianach budynków. Nie zastanawiałem się ani trochę. Ciężko dysząc dowlokłem się do misternej konstrukcji i wskoczyłem na prawie dwumetrowej wysokości parawan. Przechyliłem ciężar ciała do środka i dosłownie wleciałem tam twarzą do ziemi. Na szczęście nic mi się nie stało. Chciałem wstać, lecz poślizgnąłem się i ponownie upadłem. Do mojego nosa doleciał obrzydliwy smród, jakby odchodów czy czegoś podobnego. Miałem to wszędzie, na rękach, twarzy byłem tym wszędzie usmarowany. Leżąc tak na obesranej ziemi ze strachem zauważyłem dziurę w parawanie wielkości zbliżonej do goniących mnie psów. Była przykryta warstwą gumy, lecz fakt pozostawał faktem. To nie była bezpieczna kryjówka.

Jakby w odpowiedzi na moje myśli guma poruszyła się. Serce podeszło mi do gardła, gdy ujrzałam wyłaniający się psi pysk. Zamarłem ze strachu. Nie dochodziły do mnie nawet te makabryczne zapachy. Już po mnie, pomyślałem. Głowa psa odchyliła pokrywkę i ujrzałem z bliska swego prześladowcę. Pysk pokryty olbrzymimi płatami odchodzącej skóry i białymi plamami przesuwiał się wzdłuż otworu. Na miejscu, gdzie teoretycznie powinny znajdować się psie oczy ziała bezdenna czeluść. Czarne jak smoła gałki oczne obracały się we wszystkich kierunkach, lecz zwierzę nic przez nie nie mogło ujrzeć. Wzrok tych bezpańskich psów został poważnie uszkodzony, gdy węsząc za pożywieniem schylały pysk do szczelin pomiędzy gruzem narażając się na potężne dawki promieniowania. Nerwy wzrokowe uległy trwałemu uszkodzeniu, a chromosom odpowiedzialny za ich regenerację zanikł, przez co kolejne potomstwa tychże psów już od urodzenia nie dostrzegały blasku słońca. Jednakże przez utratę jednego zmysłu psi organizm wyostrzył pozostałe, najmocniej zaś węch. Wyczuliły się one na najśłabszy zapach, co w połączeniu ze wzrostem agresywności uczyniły z bezpańskich psów prawdziwe maszynki do zabijania.

Nie śmiałem się poruszyć, byłoby po mnie, gdybym zrobił jakikolwiek ruch. Jednak napastnik nie rzucił się na mnie, a próbował wychwycić mój zapach. Zrozumiałem to dopiero później, że tak naprawdę to gówno uratowało mi życie.

Usłyszałem pojedyncze strzały. Wtedy głowa psa opadła bezwładnie i utkwiała w otworze. Jeszcze bardziej przerażony cofnąłem się o krok. Moja ręka natrafiła na coś twardego. Filar wkomponowany w fasadę kamienicy. Schowałem się za nim wstrzymując na chwilę oddech. Usłyszałem ciche głosy, które z każdą chwilą nasilały się. Ktoś chwycił martwego psa za sierść i wytargał z otworu. Do moich uszu dobiegł dźwięk prowadzonej rozmowy. Dwóch mężczyzn rozmawiało na temat tych przeklętych psów i jakimś zgrupowaniu ludzi. Nie rozumiałem większości, choć tamci mówili bez wątpienia po Polsku.

Nim wyjrzałem na zewnątrz przeczekałem jeszcze parę chwil, przeładowałem w tym czasie broń. Nasłuchiwałem odgłosu kroków, który w pewnym momencie całkowicie ucichł. Pełen podejrzeń i z walącym sercem zdecydowałem się ewakuować z kryjówki zwłaszcza, że panujący smród niemalże zwałął mnie z nóg.

Za zasłoną z blachy nie było nikogo. W odległości kilku metrów leżały zwłoki dzikich psów, które mnie wcześniej goniły. Ktoś musiał je zauważyć podczas pogoni. Oby tylko mnie nie przyuważyli, nie wiadomo czy byli przyjaźnie nastawieni, czy to był jedynie zbieg okoliczności. Wypełzłem czym prędzej zza parawanu, po czym znieruchomiałem. Przywarłem do stalowego muru próbując wyłapać sens dochodzącej do moich uszu rozmowy. Położyłem dłoń na kolbie pistoletu włożonego za pasek w spodniach. Przeleciał mnie dreszcz strachu. A jeśli to byli... Kainowcy? Na samą myśl o konfrontacji z nimi zrobiło mi się zimno.

Na moje szczęście odgłosy rozmowy stopniowo przycichały. Trzech mężczyzn szło w stronę ruin Barbakanu oddalając się z każdą sekundą ode mnie. Nie wiem co mnie wtedy podkusiło, naprawdę. To było dziwne uczucie, lecz posłuchałem go i wyjrzałem zza winkla. Ostatni z mężczyzn, którzy mnie

uratowali, znikał właśnie za rozwaloną Bramą Floriańską. Ruszyłem za nimi idąc wzdłuż zniszczonych kamienic.

Przesadziłem potężny fragment fasady Hotelu Francuskiego leżący na uboczu, po czym podszedłem do ocalałej części muru, gdzie była kiedyś sporej wielkości wyrwa umożliwiająca przedostanie się ze Starego Miasta do Śródmieścia od strony północnej. Stamtąd również dobiegały przytłumione odgłosy rozmowy. Rozejrzałem się po okolicy, lecz w tym momencie wszystko ucichło. Stałem jak wryty, a jedynym dźwiękiem jaki słyszałem było łomotanie własnego serca. Próbowałem ich dostrzec, lecz nikogo nie dostrzegłem pomiędzy zwałami gruzu.

Serce podeszło mi do gardła, gdy usłyszałem odgłos przeładowywanej broni. Odwróciłem się odruchowo i wtedy świat wywinął fikołka. Padłem na stertę ostrokrawędzistych odłamków, gdzieniegdzie przyprószonych ceglastym pyłem z Barbakanu. Skóra zapiekła niemiłosiernie. Wtedy też ich zauważyłem. Trzech Kainowców z bronią automatyczną stało nade mną celując mi prosto w głowę. Krzyczeli przy tym jak opętani ruszając lufami karabinów. Jeden z nich, jakoby w celu niedopuszczenia mnie do głosu, bezceremonialnie potraktował mnie butem w mostek. Zwijalem się z bólu łapiąc każdy haust powietrza i walcząc z okropnymi mdłościami. Szumowiny. Kainowcy. Mogłem się domyślać, że nikt normalny nie chodzi w samo południe po Starym Mieście. No to wpadłem, pomyślałem.

Jeden z nich, wyglądem przypominający krakowskiego menela z kałasznikowem, podszedł bliżej przystawiając mi lufę do skroni. Wrzeszczał mi coś do samego ucha, lecz nie mogłem się skupić na tym co mówił. Świadomość, że zaraz miałem umrzeć z rąk tego brudasa, odebrała mi możliwość racjonalnego myślenia. Usłyszałem wtedy dźwięk przypominający warkot silnika, który stale przybierał na sile. Przyjechali? Jest ich tu więcej? Zabiorą mnie ze sobą na tortury czy zastrzelą na miejscu? Zamarłem. Moja wola walki prysła, poddałem się.

Nad naszymi głowami mignął niewyraźny kształt. Poruszał się

tak szybko, że nie byłem w stanie określić, czym tak naprawdę to było. Odrzutowiec? Rakietą? Narobiło sporo hałasu i zniknęło za najbliższymi zabudowaniami.

Moje siły wracały. W mózgu pojawiła mi się szalona myśl. Nie! Nie poddam się. Nie oddam swojego życia bez walki. Nie oddam ducha na morderczych torturach gdzieś w ruinach Nowej Huty. Poczułem jak krew wrze w moich żyłach. Dostałem szansę. Korzystając z odwróconej uwagi napastników, jednym ruchem wyjąłem pistolet zza paska i przystawiłem go pierwszemu do brzucha. Przy niknącym dźwięku owego pojazdu latającego strzał z pistoletu został niejako przytłumiony. Kainowiec padł alarmując swoich towarzyszy o niebezpieczeństwie. Zdążyłem wypalić jeszcze dwa razy zanim tamci zdążyli zareagować. Kolejny bandzior dostał w pierś. Ostatni z nich w porę jednak ujął swoją broń i wycelował. Wystrzeliliśmy niemalże w jednakowym momencie. Ja trafiłem. Nie wiem co stało się potem, gdyż po nagłym uderzeniu bólu straciłem przytomność.

Obudziłem się chyba kilka godzin później. Słońce zniknęło za na wpół rozwalonymi kamienicami. Z trudnością zdołałem odróżnić poszczególne kontury i kształty. Ostrość widzenia przyszła dopiero po chwili. Leżałem na wznak. Z rany w okolicy brzucha musiała sączyć się krew, gdyż czułem, że koszulka przywarła do ciała, a na kamieniach spoczęły wyschnięte krople krwi. Czułem się zrozpaczony. Jeszcze nigdy w życiu nie zabiłem człowieka... i nigdy nie byłem ranny. Byłem wtedy w szoku i nie zdawałem sobie sprawy z zagrożenia. Wiedziałem jedno. Jeżeli się stamtąd nie wydostanę, zginę na bank. Z wielkim trudem wstałem opierając się o co większe kawałki gruzu. Rana w brzuchu emanowała potwornym bólem, który odbierał dech. Nie miałem dużo czasu. Ruszyłem w stronę Kleparza. Kilkadziesiąt kroków dalej uzmysłowiłem sobie, że porzuciłem cenne przedmioty na placu boju. Karabiny automatyczne z magazynkami. Prawdziwa fortuna w tych czasach. Nie miałem jednak dość sił, by się wrócić. Uszedłem jeszcze kilka kroków, po czym straciłem grunt i ległem na ziemi.

DZIEŃ 36

Gdy się obudziłem nie widziałem dosłownie nic. Jawiła mi się przed oczami monstrualna pustka, którą przecinały kolorowe smugi zaciśniętych powiek. Chciałem je otworzyć, lecz za bardzo się bałem. Co tam może być? Niebo? Piekło? Valhalla? Gdy zdobyłem się na odwagę by uchylić powiekę zamarłem z przerażenia. Nie ujrzałem nic. Ciało piekło. Paliło wnętrzości, czułem narastający ból rozchodzący się od wątroby we wszystkich kierunkach. Chciałem usnąć, lecz męka jakiej doświadczałem skutecznie mi to uniemożliwiała. Wreszcie, wycieńczony walką, usnąłem.

Obraz jaki przetworzył mój mózg po ponownym otwarciu oczu nieco mnie zdziwił. To w zaświatach też są nieogoleni faceci? A może... nie! Piekła nie ma, a jak jest to i tak tam nie trafiłem. A co jeśli jednak? Gość, który się nade mną pochylał wyglądał na sfrustrowanego staruszka, któremu wnuki podbierały pieniądze z emerytury. Ubrany był w biały fartuch, zupełnie jak w klinice dla zwierząt. Po zanalizowaniu tego co uroił sobie mój mózg aż mnie ciarki przeszły.

– Obudził się. – Rzekł domniemany weterynarz – Sądzę, że macie sobie coś do powiedzenia.

Obok niego wyrosli jak spod ziemi dwaj faceci. Jednego poznałem od razu. To jeden z tych, którzy napadli mnie w moim własnym domu, po czym ładnie przeprosili i wyszli. Przez trzy kolejne dni naprawiałem drzwi i urozmaicałem systemy zabezpieczeń jakich nie powstydziliby się niejeden bank szwajcarski. Drugi z mężczyzn był wysoki i dobrze zbudowany. Kilkudniowy zarost na twarzy dodawał mu powagi i sprawiał, że wyglądał groźniej niż był w rzeczywistości. Bąknąłem coś niezrozumiałego chcąc zapytać o miejsce pobytu, lecz tamci najwyraźniej nie zrozumieli, bo przysunęli się bliżej.

– To nie jest niebo, ale myślę, że Ci się spodoba. – Powiedział ten z zarostem.

– Czy ja mam szczęście? – Wymamrotałem.

– O tak! Nawet więcej niż niejeden z nas miał przez całe życie. – Zamilkł, lecz po chwili znów zaczął mówić widząc moją niewyraźną minę – Bo widzisz. To nie takie proste. Człowiek to nie maszyna, która po wymianie części działa jak nowa. Nie dość, że akcja serca zatrzymała się w połowie drogi do szpitala, to fakt, że się zbudziłeś cztery dni po znalezieniu cię w ruinach jest doprawdy czymś niezwykłym. Nasz doktor nie dawał ci więcej jak trzydzieści procent. Po operacji wszystko wygląda już całkiem dobrze.

– To była pułapka – przerwałem mu – Myślałem, że to ktoś z zewnątrz, a to się okazali... Kainowcy.

– Wiemy, widzieliśmy zwłoki. – Odpowiedział ten, który mnie odwiedził niedawno – Wysłaliśmy ludzi, aby dokonali rozeznania w terenie. Swoją drogą będziesz musiał mi kiedyś opowiedzieć jak Ci się udało z trzema Kainowcami naraz.

– Ee ee e... – Nie miałem dość sił, aby dalej rozmawiać. Przymknąłem oczy starając się oddychać równomiernie i poukładać sobie w głowie to, co się stało.

– Podejrzewam, że to będzie długi wrzesień. – Rzekł ten nieogolony, po czym obaj zostawili mnie samego.

DZIEŃ... ACH, DO DIABŁA, STRACIŁEM RACHUBĘ

Nie wiem, który dzisiaj i szczerze mówiąc coraz mniej mnie to obchodzi. Ważne było dla mnie to, że znów zacząłem chodzić. Rana jako tako się zagoiła i mogłem w końcu oderwać się od łóżka i zobaczyć na własne oczy czym była Twierdza.

Rozmawiałem wiele razy z Andrzejem (to ten, który mi drzwi rozwalił) na temat ich kryjówki czy bazy jakby to nie nazwać. To miejsce było niesamowite. To jakby miasto w mieście. Co prawda może te słowa były pewnym skrótem myślowym, lecz fakt pozostawał taki, iż nieźle się tu urządzili. Pieniądze nie

miały już żadnego znaczenia dlatego wszystko było rozdysponowane sprawiedliwie na ile się dało. Każdy wedle zasług, ale też z zachowaniem umiaru. Nie było mowy o bogactwie, ale wszyscy mogli czuć się w miarę bezpieczni, oczywiście tylko do momentu, gdy nie wychodzili poza „mury” Twierdzy.

– Wiesz, co znaleźliśmy, gdy przywędrowaliśmy tu w pięciu z Balic? – Pokiwałem przecząco głową – Pustynię. W okolicy nie było żywego ducha. Nie to co teraz, Kainowcy pojawiają się dosłownie wszędzie, czego zresztą sam doświadczyłeś. Ale ja nie o tym chciałem – szliśmy wzdłuż korytarza, który był jak ze snu. Czysty, schludny, żadnego gruzu czy pyłu. Był po prostu taki jak przed wojną. Andrzej odchrząknął – Nasz kapitan... wpadł na zaskakujący pomysł. Wybraliśmy odpowiednie miejsce i zabarykadowaliśmy się w środku. Na krótszą metę dawało to minimum bezpieczeństwa, lecz nie o to przecież chodziło. Wtedy przyszli inni. Przywędrowali z północy, z zachodu. Całymi rodzinami. Przygarnęliśmy ich pod nasz dach i tym samym stworzyliśmy namiastkę społeczności, która żyłaby na ograniczonej przestrzeni. Każdy miał swoje zadanie i swoje obowiązki. Zabarykadowaliśmy wszystkie możliwe drogi wyjścia. Utworzył się bastion, którego murami były zewnętrzne ściany kamienic. Wysyłamy regularne patrole, aby pilnowały newralgicznych punktów, lecz udało nam się stworzyć coś co można nazwać osadą. Byłeś w szpitalu, zapewne będziesz chciał jeszcze odwiedzić inne miejsca jak spiżarnię czy Błękitną Salę. – Popatrzyłem na niego pytająco, gdy skręciliśmy przechodząc przez rozległy pokój pełniący funkcję magazynu – To takie formalne miejsce, gdzie mogą spotkać się wszyscy mieszkańcy Twierdzy i wypowiedzieć na jakiś temat. Coś jak sejm, z tym, że tutaj decyzje podejmują ludzie, a nie komuniści. – Uśmiechnął się.

– Wspominałeś o tym, że zabarykadowaliście się tutaj. Więc skąd czerpicie żywność, wodę? Nigdy nie opuszczacie Twierdzy? – Zapytałem.

– Oczywiście, że tak. Jedzenie i woda są tutaj poważnym problemem, lecz z pomocą kilku mieszkańców, którzy mają rodziny bądź krewnych poza Krakowem i prowadzą teraz rolę, zaopatrujemy się w niezbędną żywność w zamian za inne usługi.

– Rodziny? Skoro tam mają swoich krewnych, to czemu się do nich nie wybiorą tylko zostają tutaj?

– Zapytaj ich sam. – Andrzej spojrzał na wyczyszczoną posadzkę w pokoju, który był aktualnie remontowany – Sądzę, że tu znajdują schronienie i bezpieczeństwo. Wiedzą, że w przypadku problemów mogą liczyć na skuteczną pomoc. Nie wiem, nie potrafię tego inaczej wyjaśnić. Fakt jest taki, że mamy ponad sześćdziesięciu mieszkańców. Każdy ma jakieś umiejętności, których potrzebujemy. Zresztą... Potrzebujemy wszystkiego.

– Mówiłeś coś o kapitanie.

– Tak, to nasz przywódca. Wiele mu zawdzięczamy. Był jednym z założycieli Twierdzy. Bez niego by się nie udało.

– Ale z tego co widziałem nie jest wojskowym.

– Był... Zdezercerował z armii, gdy zobaczył co się święci. Zebrał grupę ochotników, po czym wykradł z wojskowego magazynu część amunicji i kilka sztuk broni. Dzięki temu nie byliśmy bezbronni na samym początku.

– Ty też jesteś... byłeś wojskowym? – Zapytałem.

– Nie. Ja mam zupełnie inną historię. Ale nie ma o czym mówić. Zresztą, dochodzimy właśnie do skrzydła szpitalnego.

KTÓRYŚ TAM... A CHOLERA BY WIEDZIAŁA

Sprawność powracała powoli, lecz szczęście mi tym razem sprzyjało. Kula drasnęła żołądek i o milimetry ominęła ważniejsze naczynia. Dzięki szybkiej operacji doktor z Twierdzy usunął kulę, odkaził i zaszył miejsce. Przynajmniej tyle się dowiedziałem. Myśli o domu ciągle zaprzętały mi

głowę, nie mogłem się od nich uwolnić. Wiedziałem, że siedziałem w tym miejscu bardzo długo. Może dwa miesiące lub trzy. Na zewnątrz było naprawdę zimno, lecz dzięki centralnemu ogrzewaniu część szpitalna i kwatery był jako tako ogrzane. Obserwowałem w milczeniu jak biały puch okrywa radioaktywny świat. W pewnym momencie nie wytrzymałem. Lubię towarzystwo innych ludzi, lecz za bardzo przyzwyczajam się do swojej własności. Cierpię, gdy nie wiem co dzieje się z moim domem. Dla mnie kamienica przy Szewskiej to tak jak dla nich cała Twierdza. Byli tu bezpieczni. Ja zaś dusiłem się, gdy byłem w zamknięciu.

Przy wyjściu zaczepił mnie Andrzej i gdy dowiedział się o moich zamiarach westchnął ciężko.

– Miałem cię zapytać już dawno, lecz cały czas wahałem się.

– O co chodzi?

– Kapitan zlecił mi przygotowanie ekspedycji. Nasze siły są skromne, dlatego nie możemy uszczuplać ich kolejnymi ryzykownymi wypadami po dwie-trzy osoby. Dostaliśmy wiadomość o tym, że Banda Kaina założyła posterunek w okolicach sądu apelacyjnego na Grzegórkach. To ponoć ich pierwsza baza tak blisko Starego Miasta. Sądzymy, że zamierzają rozbudować swoje pozycje na całej szerokości od Prądnika Czerwonego po Wisłę. Oddziela tym samym Nową Hutę od centrum Krakowa i będą wtedy mieli nas jak na widelcu. Teraz nie mogą nam bezpośrednio zagrozić, lecz gdyby nasze obawy się sprawdziły, byłibyśmy w ciężkiej sytuacji. A wszystko zaczęłoby się od tego przyczółku. Dlatego należy go zlikwidować i wykonać kontruderzenie w najbardziej dotkliwy sposób. Kapitan wierzy w twoje umiejętności.

– Jakie znowu umiejętności? – Zirytowałem się – Wybacz szczerze, ale ten plan jest szalony. Ja się nie nadaję na żołnierza. Przykro mi, ale moja odpowiedź brzmi nie.

– Rozumiem. Spodziewałem się zresztą tego. Nie należysz do

naszej społeczności więc nie interesują cię jej problemy. Ale musisz wiedzieć, że ta sprawa dotyczy całego Krakowa.

– Zrozumiałem.

– Poczekaj jeszcze. Weź to. – Wręczył mi karabin szturmowy AKM z jakimś urządzeniem przyczepionym pod lufą. – To jeden z karabinków zarekwirowanych tym bandziorom, którzy cię napadli. Należy ci się jakaś bonifikata za zlikwidowanie tego robactwa. Zainstalowałem ci granatnik podlufowy, tu masz dwa pociski i magazynki. Bywaj i pamiętaj, że zawsze jesteś tu mile widziany.

Odchodziłem z mieszanymi uczuciami. Nie czułem się ani na siłach ani mentalnie aby bronić czyjejs wolności i życia. Choć czułem ich strach to niewiele mogłem zrobić. Zdawałem sobie sprawę, iż w przypadku trwałego założenia tego posterunku oraz kolejnych na linii Prądnik Czerwony – Dąbie istnienie Twierdzy byłoby poważnie zagrożone. Kainowcy skoncentrowaliby swoje bandy w jeden wielki oddział i po prostu zajęliby Stare Miasto z marszu. Dlatego Kapitan i Andrzej boją się, chcą rozpaczliwie przeciwstawić się rosnącej sile swojego wroga, dla którego litość i miłosierdzie to zupełnie abstrakcyjne słowa. Tylko w takich małych podjazdach jak ten mają szansę powodzenia.

Gdy dotarłem do swojego domu zauważyłem ze zgrozą, że drzwi były wyłamane. Podeszedłem bliżej ze smutkiem przyglądając się zniszczonemu wejściu. Taki widok mógł oznaczać tylko jedno: mieszkanie zostało kompletnie ograbione i zdewastowane. Wszystko nad czym pracowałem przepadło bezpowrotnie. Wszedłem ostrożnie do środka. Zachodziłem w głowę, czemu nie zadziałał mój nowy system antywłamaniowy. Wtedy go zauważyłem. Mężczyzna leżał twarzą do ziemi jakieś dwa kroki od wejścia. Załadowałem broń i ostrożnie podeszedłem bliżej. Ku mojej radości zauważyłem łuskę od naboju myśliwskiego. System zadziałał. Linka podczepiona do drzwi aktywowała moją strzelbę w chwili, gdy napastnik z impetem wchodził do mieszkania. Coś jednak

było nie tak. Smród. Co prawda pod moimi nogami leżał nieboszczyk, lecz... to było coś innego. Krew. Zapach krwi. Rozejrzałem się po pustym pokoju, lecz wszystko było w najlepszym porządku. Poza... Odwróciłem trupa odsłaniając sporej wielkości kałużę krwi. Nie wyschła, co więcej była jeszcze ciepła, gdy dotknąłem ją palcem. Oblał mnie zimny pot. To zdarzyło się teraz. On zginął na chwilę przed moim przyjściem. Rozejrzałem się uważnie i wtedy moją uwagę przykuła półeczka na wysokości pasa, na której zamontowałem strzelbę. No właśnie. Pamiętam, że to zrobiłem. Strzelby jednak nie było. On nie był sam...

Nie zdążyłem zareagować. Dwóch facetów dosłownie zleciało ze schodów rzucając się na mnie niczym dzikie zwierzęta. Jeden zajął się modelowaniem mojej twarzy przy użyciu pięści, a drugi zabrał mi w tym czasie wszelką posiadaną broń. Rana na brzuchu bolała niemiłosiernie, modliłem się w duchu, aby znów nie doznać krwotoku. Później po rytualnym skopaniu i obrzuceniu obelgami postawili mnie na kolanach. Z nosa ciekła mi strużka krwi, a lewą powiekę nie mogłem nawet podnieść. Bolało mnie w okolicy prawej nerki, gdzie na dłuższą chwilę zadomowił się czubek buta jednego z tych oprychów. Chciałem na nich splunąć, lecz tylko jeszcze bardziej ufajdałem sobie twarz. Jeden z napastników wyjął jakiś zardzewiały przedmiot z wyglądu przypominający maczetę. Zbliżał się powoli widocznie napawając się moim widokiem. Mruczał przy tym pod nosem: „Takie szczęście nie zdarza się często. Stare Miasto rzeczywiście obfituje w zwierzynę”. No ładnie mnie podsumował, pomyślałem. Wtedy do pokoju wszedł trzeci Kainowiec, a mój świat fiknął koziołka. Gdy się ocknąłem widziałem już tylko jej twarz.

– Klaudia? – Wymamrotałem – Ty... Co...

– Witaj Sylwus. – Mruknęła czule – Co oni z tobą zrobili?

Moja dziewczyna przysunęła się bliżej delikatnie ocierając moje rany zwilżoną szmatką. Byłem w szoku, nie wiedziałem co

się dzieje. To wszystko wydawało się takie nierealne.

– Dlaczego? Powiedz mi dlaczego to zrobiłaś? – Dopiero przy ostatnim słowie dotarło do mnie, że mój głos zniekształcał szloch. – Dlaczego na to przystałaś?

– Nie zrozumiesz. – Pokręciła głową – Gdy w pierwszych tygodniach po bombardowaniu tułałam się po mieście, w którym mieszkały jedynie duchy i konające z napromieniowania niedobitki wielkich armii zrozumiałam, że długo nie wytrzymam tu sama. Tak. Zrobiłam to, bo się bałam. Bałam się, że następną ofiarą jeśli nie promieniowania to głodu, choroby lub ulicznych bandziorów będę ja. Byłam w totalnym szoku, mój świat się zawalił. Spróbuj mnie zrozumieć! A oni – kiwnęła w stronę siedzących na murku po drugiej stronie ulicy Kainowców – Oni mnie przygarnęli, dali mi dach nad głową, jedzenie, bezpieczeństwo. Choć nie zdawałam sobie sprawy czego tak naprawdę chcą.

– A czego chcieli? – Drażyłem temat choć tak naprawdę znałem już odpowiedź na to pytanie.

Klaudia spuściła głowę i odwróciła się w kierunku klatki schodowej. Ubrana była w dziwaczny strój. Ni to zwykłe ubranie czy jakiś kostium, poszarpane, z dziurami i w dodatku brudne.

Zawrzał we mnie gniew i choć nie chciałem dać tego po sobie poznać, choć nie chciałem dać im tej satysfakcji, w środku aż się we mnie gotowało. Jak? Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Ta gadka jest nic nie warta. Sterta kłamstw wymyślonych dawno temu, aby w razie spotkania się wytłumaczyć. A może nie? Może to, co powiedziała było prawdą. Tragiczną, smutną, lecz prawdziwą?

– Szukałem cię. Cały czas. – Powiedziałem przez zaciśnięte zęby – Nawet gdy mnie postrzelili na początku zimy, leżąc na szpitalnym łóżku, nie przestałem o tobie myśleć. O nas...

– Ja też o tobie myślałam. Szukałam bez przerwy, aż w końcu

uświadomiłam sobie, że to bezcelowe, że zginąłeś, a twoje ciało leży gdzieś pod zwałami gruzu. Byłam przerażona. Spotykałam okaleczonych ludzi – ofiary potężnego promieniowania. Byli... straszni. Przypominali bardziej żywych nieboszczyków niż ludzi.

– Los jednak był dla nas łaskawy i znów mogliśmy się spotkać.

– Kontynuowała po krótkiej chwili – Teraz nawet kolejna wojna atomowa nas nie rozdzieli. – Klaudia przysunęła twarz, lecz odwróciłam wzrok. Krew wrzała mi w żyłach. Byłam zły na nią, na siebie, że się nie zabiłem wcześniej, lub, że zbłąkana kula tamtego Kainowca nie trafiła w moje wciąż wierzące i mające nadzieję serce. Teraz miałem tylko marzenie by umrzeć.

– Wyjedź ze mną. Zostaw to wszystko i ucieknijmy stąd. Jeśli odpowiednio ich zmylimy uda nam się dotrzeć do Modlniczki przed zachodem słońca. Słyszałam, że jest tam obóz dla uchodźców. Tam spróbujemy...

– Nie idę. – Klaudia spojrzała na mnie pytająco. Jak mogła to zrobić? Oddała się im! Dała swoje ciało na pastwę tych plugawych ścierw, morderców, gwałcicieli... i ona śmie nazywać to bezpieczeństwem. Pokazałem jej obrączkę, którą przez cały ten czas nosiłem na palcu. Był to trochę nieformalny symbol naszego związku, bardziej pod żart podchodzący, lecz dobrze się z tym czuliśmy. Zdjąłem ją i bez większych oporów cisnąłem w kąt. Obserwowałem przy tym jak jej zrozpaczony wzrok podąża śladem owego „symbolu”. – Wybacz, lecz to nie jest twój dom i jeśli możesz... – Wskazałem dłonią wyważone drzwi

– Ale... – Zauważyłem pojawiające się w kącikach ust maleńkie krople łez.

– Przykro mi, ale marnujesz swój czas. – Podejrzewam, że słowa te były jak cios obuchem zadany w tył głowy – Co więcej, uważam, że marnujesz mój czas, dlatego teraz się pożegnamy. Ostatni raz i na zawsze.

Klaudia popatrzyła na mnie smutno. Cienka strużka łez spłynęła

jej po policzku, po czym kapnęła na zakurzoną podłogę tworząc ciemną plamkę. Patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Nie chciałem dać jej tej satysfakcji i nie odwróciłem wzroku. Patrzyłem jak nie wytrzymuje i przeciera policzki. Patrzyłem jak się odwraca i wychodzi, a za nią te dwa goryle. Nie mogłem powstrzymać napadu żalu. Gdy tylko odeszli padłem na kolana i gorzko zapłakałem.

TWIERDZA... DZIEŃ, KTÓRY MIAŁ NIE NADEJŚĆ

W Twierdzy pojawiłem się z samego rana. Nikt się mnie nie spodziewał, lecz zauważyłem nieskrywaną radość z mojego powrotu. Trochę mnie to onieśmielało, lecz nie przywiązywałem do tego większej wagi. Mój świat się zawalił. Cóż gorszego mogło mnie spotkać?

Andrzej siedział w swoim pokoju na drugim piętrze i majstrował coś przy swojej broni. Gdy się przywitaliśmy nie próbował nawet ukrywać zainteresowania z mojego przybycia. Wypytywał o szczegóły zdarzeń, o których ja jednak nie chciałem opowiadać. W końcu poprzestaliśmy na rozmowie na temat aktualnych wydarzeń w Krakowie. Gdy padł temat wyprawy, bez wahania zgłosiłem swój udział. Andrzej uniósł brwi ze zdumienia uważnie się we mnie wpatrując zupełnie jakby zobaczył ducha.

– Coś nie tak? – Warknąłem.

– Nie, skąd. Wręcz przeciwnie. Bardzo się cieszę, że z nami będziesz. Przyda się ktoś kto umie się posługiwać bronią automatyczną.

Srutki tutki. Akurat umiem...

– Więc w czym problem? – Andrzej zamyślił się na moment.

– Zmieniłeś się. Cokolwiek zdarzyło się tam – na Szewskiej musiało wyrzucić na Ciebie duży wpływ.

– Pieprzenie – skwitowałem ogólnie.

- Właśnie, że nie. To widać w każdym twoim geście i słowie.
- Humanista się znalazł...
- Bez nerwów kolego. Nie chciałem cię czymkolwiek urazić. Lepiej chodźmy do doktora, on rzuci oko na twoje rany. Znow będzie cie musiał posklejać. – Ostatnie słowa wypowiedział już lekkim tonem uśmiechając się szeroko.
- Mam jednak prośbę.
- Tak?
- To jest mój dziennik. – Wyjąłem z kieszeni ten stary notatnik, którego pilnowałem bardziej niż zapasów jedzenia. – W razie gdybym nie powrócił z tej... wyprawy. Spalcie go. Nie zależy mi już na pamięci o sobie. – Andrzej popatrzył na mnie spode łba wyraźnie nie rozumiejąc, co mam na myśli. Oddam wam go przed akcją, gdyż chce dopisać ostatnie słowa.
- Spokojnie, to nie jest misja samobójcza. Wszystko zostało ustalone góry...

Mówił dalej, lecz ja go już nie słuchałem. Chciałem dopisać jeszcze kilka rzeczy, aby domknąć całą historię i nawet jeśli nie będę już później zapisywał stron w tym zeszycie, to chciałbym zamknąć ten rozdział w moim życiu. I puścić go z dymem...

[TA CZĘŚĆ DZIENNIKA PISANA INNYM STYLEM PISMA]

Nazywam się Feliks Paniewski, zaufany współpracownik Andrzeja Koszyca, nauczyciel samoobrony w Twierdzy, żołnierz Ludowego Wojska Polskiego.

Otrzymałem ten oto dziennik od Andrzeja w celu zniszczenia go w wypadku porażki akcji „Eliminacja”. Coś poszło nie tak. Zawiódł wywiad terenowy lub mieliśmy nieodpowiednie środki, aby zakończyć operację. Ponieśliśmy druzgocącą porażkę. To była zasadzka skierowana właśnie przeciw nam. My natomiast

perfekcyjnie daliśmy się usidlić bandzie rabusiów i morderców. Dziewięcioro obywateli Twierdzy straciło wtedy życie. Straszna była to dla nas wiadomość, lecz poprzysięgliśmy srogą zemstę na Bandzie Kaina, choć już żadne czyny i słowa nie przywrócą życia naszym przyjaciom. Nie wzięto jeńców, ani nie opatrzono rannych. Wszyscy zginęli na miejscu.

Znów ktoś się pomylił. Bo człowiek jest tylko człowiekiem, może popełniać błędy. Ludzką rzeczą jest błądzić. Lekcja w tym dla nas, abyśmy wyciągnęli odpowiednie wnioski.

Ja natomiast nie uczynię tego, czego życzył sobie właściciel tego dziennika, święć Panie nad jego duszą. Poznałem jego historię i wiem teraz przez jakie piekło przeszedł Sylwester w ostatnich miesiącach. Jego czyny nie zasługują jednak na zapomnienie, lecz powinny świadczyć ku przestrodze innym i pokazywać, w co zmienił się ówczesny świat.

...

Dzień zapowiada się deszczowo. To bardzo dobrze dla nas. Mamy pięciokrotnie mniej ludzi niż oblegający twierdzę Kainowcy. Nie wiem jak długo wytrzymamy. Nasze zapasy żywności topnieją w oczach. Zaczyna brakować amunicji. Wszyscy są przerażeni. Napastnicy odcięli nam jedyną drogę ucieczki i uwięzili w tych murach. Lecz przysięgam na wszystko w co wierzę. Nie poddamy się i będziemy walczyć do ostatniego żołnierza.

Autor: Danek

Forum literackie autora: www.via-appia.pl

Nadesłano do „Wolnych Mediów”